

wzruszenie młodego doktora. Bliskość tych uskokochanych, o których nie śmiał nawet marzyć przed godziną, odbierała mu przytomność umysłu. A przecież chwilami obowiązek sumiennego lekarza paraliżował odruchy uczucia, wstrząsające Frankiem, tak, że ten zwalczając siłą pierwsze, żywe wrażenie, po chwili już pochłonięty był tylko jedną jedyną myślą ratowania chorej.

Skutek tego dobroczynnego działania ujawnił się wkrótce. Nadzieja obudzona kilkoma słowami tajemniczego nieznajomego nie zawiodła go.

Płuca Sylwii, porażone zabójczą siłą trucizny, powracały powoli do normalnego funkcjonowania, pod wpływem dostępu powietrza, pobudzając do życia kanały oddechowe, będące dotąd w stanie zupełnego odrętwienia.

Muskuły ciała straciły swoją sztywność i po chwili z ust półotwartych chorej wybiegło lekkie westchnienie. Był to pierwszy objaw zmartwychwstającego życia.

Nie trzeba było utracić chwili decydującej i wykorzystać ją szybko.

Frank wiedział o tem i czuł tę wielką odpowiedzialność, ciążącą na nim. Wyczekał więc, drżąc ze wzruszenia, moment rodzący do zastosowania płynu odczyniającego i wlał szybko kilka kropel do ust chorej.

Począł trwać w niecierpliwem oczekiwaniu, nieruchomy, bez słowa, śledząc bacznie działanie lekarstwa.

W pokoju chorej, oprócz niego, barona de Compans i narzeczonego młodej dziewczyny, nie było nikogo. Lekarze jeszcze przed chwilą, uznając swoje zabiegi za bezowocne, wycofali się dyskretnie, pozostawiając miejsce wolne dla rywala, którego musieli pomimo woli uznać za silniejszego od siebie.

Naręczony Sylwii de Compans zdradzał coraz więcej polegające się zdenerwowanie i niepokój. Nie mógł usiedzieć na miejscu, przechadzał się niecierpliwie po pokoju, spoglądał na zegarek, przyczesał włosy przed lustrem, to znowu obserwował chorą poprzez ramię Franka, wdychając dramatycznie i zapewniał młodego człowieka o swojej głębokiej, nieograniczonej wdzięczności i uznaniu.

W pewnej chwili z rozjaśnioną twarzą podbiegł do bankiera i wstrząsając silnie jego ręką, wyrzekł uroczyście:

— Sylwia będzie uratowana! Nie grozi jej już żadne niebezpieczeństwo. Niech się kochany ojciec uspokoi. Ten młody doktor zasługuje na zupełne zaufanie. Jutro na Giełdzie opowiem wszystkim znajomym o tem cudownem ocaleniu i zrobię go sławnym!

Tymczasem dreszcz przeciągły i silny przebiegł nagle ciałem chorej. Doktor Frank w pierwszej chwili obawiał się, czy to nie jest powrót ataku nerwowego. Twarz jego jakgdyby skamieniała w oczekiwaniu, obiekta się takim bolesnym rozczarowaniem, że bankier de Compans, który ciągle śledził go wzrokiem, przyskoczył zaniepokojony i pochwycił go za rękę.

— To nic! To nic! — szepnął młody człowiek, oddalając go energicznym ruchem.

Był to rzeczywiście tylko objaw przejściowy i wkrótce widome polepszenie dało się zauważyć w stanie chorej.

Oddech stał się już pełniejszy i nabrał więcej siły, puls początkowo kapryśny, leniwy i słaby, uderzał teraz mocniej, członki ciała ożywiły się naturalnem ciepłem i traciły sztywność. W końcu wszystkie te zairrażające symptomy ustąpiły i młoda dziewczyna powoli otworzyła oczy.

— Powraca do przytomności! — zawołał Oktawiusz, podbiegając do narzeczonej.

Bankier zaś był tak zaskoczony tą nagłą zmianą, w którą jeszcze wierzyć nie śmiał, że nie był w stanie słowa wymówić. Pochwycił tylko żywo rękę Franka i oczy jego zaszklili się łzami wdzięczności.

Długą chwilę spoglądał osłupiałym spojrzeniem to na córkę leżącą, bladą, wśród poduszek, to na młodego lekarza, nie mogąc sobie zdać sprawy z tego, co się stało.

— Mój Boże! — wyszeptał w końcu — Czy to możliwe! Czyż Bóg byłby tak łaskaw, aby mnie takim szczęściem obdarzyć!

Tymczasem Sylwia, jakgdyby budząc się z letargu, powracała powoli do życia. Roztworzyła szeroko oczy i ze zdziwieniem powiodła okiem dokoła, następnie słabym ruchem przycisnęła skronie rękami i uśmiechnęła się blado.

— Cóż to się stało? — zapytała ledwie dosłyszalnym głosem — Dlaczego płaczesz, ojciec? — Uratowana! Ona jest uratowana! — zawołał Oktawiusz, nie mogąc opanować wybuchu radości.

Bankier płakał jak dziecko i śmiał się naprzemian. Wzruszenie odbierało mu przytomność umysłu.

Oktawiusz wyciągnął nagle zegarek z kieszeni pod wpływem naglej myśli, która go nawiedziła.

— Jest godzina dziewiąta. — wyrzekł żywo. — Biegnę na Giełdę. Cały Paryż dowie się w godzinie o tem nadzwyczajnem zdarzeniu! Nie posiadam się doprawdy z radości! Do widzenia! Powrócę zaraz i spędzimy wieczór razem!

Wykreślił się zgrabnie na pięcie lakierowanych bucików i znikł za drzwiami.

Frank zaś drżał pod wpływem gorączkowego wzruszenia, które nie opuszczało go przez dzień cały, a teraz spotęgowało się do granic najwyższych.

Miał wrażenie jakgdyby ciężar jakiś nie do zniesienia spadł mu z piersi i uczuwał dziwną lekkość w głowie, graniczącą z upojeniem.

A jednak do tej szalonej radości, spowodowanej pewnością, iż uratował życie najdroższej sobie istoty, dołączał się ból ostry, ilekroć wspominał, że Sylvia de Compans jest tak niedostępna dla niego i utraciła już wolność swoją. Uczuł nagle ogromną potrzebę samotności i pozostania sam na sam ze swoimi myślami, a przedewszystkiem uciec chciał jaknajprędzej od tych dowodów wdzięczności i uznania, którymni obsypywano go, a które drażniły go niewymownie.

Zadał więc jeszcze raz chorą i zaleciwszy spokój dla niej bezwzględny, opuścił szybko ten dom, w którym dłuższe przebywanie, zważywszy podniecony stan jego umysłu, narazić go mogło na jaki wybuch nieobliczalny i szalony.

Kiedy znalazł się na ulicy i uderzył go silny prąd świeżego powietrza, uspokoił się cokolwiek. Napływ krwi rozsadzający mu skronie zlagodniał trochę i mógł już po części zebrać rozwichrzone i dręczące go myśli. Sierał się logicznie i na zimno zastanawiał nad okolicznościami, które mimo jego woli wtargnęły go w samo środowisko jakiegoś dziwnego, tajemniczego drania, którego dotąd jeszcze zrozumieć nie mógł.

Wspomnienie nieznajomego, który go odwiedził dnia poprzedniego, wystąpiło silnie w jego pamięci, dręcząc go swoją niejasnością i zagadkowością.

Kim był ten nieznajomy i jaki był jego cel zajmowania się nim? Frank, przejęty do głębi krępującą go sytuacją, postanowił sobie za wszelką cenę odkryć intrygującą go zagadkę.

Dotąd ulegał biernie woli tego człowieka, silniejszej od jego rozumowania. Zresztą fakta rozwinęły się tak gwałtownie i w tak przyspieszonym tempie, iż nie mógł się przed nimi cołnąć lub opierać.

Ale teraz rozumiał, że nie mógł już dalej tak ślepo awanturować się, gdyż w tych wszystkich niewyjaśnionych wydarzeniach leżał się narazić honor swój i spokój i stanąć na pochyłości, z której nie byłoby już odwrotu.

Pogrążony w tych myślach, Frank szedł wolno ulicą, kiedy nagle na zakręcie ulicy natknął się właśnie na tego, którym był zajęty.

Instynktownym ruchem zatrzymał się i czekał.

— Głównie jestem się założyć — zawołał nieznajomy — że spotkanie moje sprawia panu w tej chwili prawdziwe zadowolenie.

— Przyznaję, że pan ma słuszość — odparł Frank, zdumiony tem przywitaniem.

— Oh! bo ja znam ludzi! — uśmiechnął się nieznajomy — i pan podobny jest do innych. Jest pan obecnie zaniepokojony rozlicznymi pytaniami, na które nie umię pan znaleźć odpowiedzi. Czy nie tak?

— Ma pan dziwny dar odgadywania — zauważył z lekkim przekąsem młody lekarz.

— Bardzo to możliwe.

— Czy chce pan sobie zadzwic ze mnie?

— Jak Melistofeles z doktora Fausta? — dokończył nieznajomy ironicznie.

— Czy wie pan, że chwilami przybiera pan w moich oczach postać tego kusiciela?

— Oh! Pochlebia mi pan.

— Wszystko to, co się stało, przeraża mnie — westchnął Frank, zamyślając się.

— Czy wierzy pan w czarną magię?

— Nie wierzę w każdym razie, aby pan był istotą nadnaturalną.

Nieznajomy uśmiechnął się lekko.

— Zapewnie! — wyrzekł poważnie. — Cagliostro nie był również istotą nadnaturalną, tylko człowiekiem wielkiej mądrości, oto wszyscy!

— Nie bardzo wierzę w osławioną jego mądrość — zaprzeczył z rozdrażnieniem Frank, bo pewność towarzysza zaczęła go już na dobre gniewać.

— A jednak — odparł łagodnie nieznajomy — Cagliostro, gdyby tu był, mógłby panu przepowiedzieć wiele ciekawych rzeczy, opierając to na znajomości życia pana i całej jego przeszłości, tak dobrze mu znanej, jakgd, by to było jego własne.

— Przepowiedzieć! — podchwycił Frank żywo i z pewną ciekawością — I cóż takiego, proszę.

— Pan nie będzie wierzył w moje przepowiednie. Chciałbym tylko wzbudzić w panu zaufanie i dlatego wymienię cały przebieg podróży pana, która trwała lat trzy.

— Aby mnie jeszcze więcej zaintrygować? — zapytał drwiąco młody lekarz.

— Niech pan posłucha. W roku 19. miał pan lat dwadzieścia dwa i przebywał pan wówczas w Stanach Zjednoczonych, badając kraj i obyczaje.

— To prawda, ale pan?...

— Ja, dostatecznie obeznany z obyczajami ludzi cywilizowanych, wolałem się oddać badaniu ludzi mniej kulturalnych. W jakiś czas później widziano pana eksploatującego florę górską w Indiach.

— Ależ panie! — zawołał Frank ze zdumieniem — Zaczyna mnie pan przerażać!

— Niech się pan uspokoi. Ja znowu szukałem pomiędzy dziką ludnością Ameryki Południowej tajemnicy tej strasznej trucizny, której używają do strzał swoich w celach morderczych. A jeszcze później podróżowałem pan wiele na parowcu holenderskim. Czy się mylę?

— Nie! — odparł Frank silnie zaskoczony.

— Pchało pana naprzód pragnienie kształcenia się. I czegoż się pan w rezultacie nauczył? Czczych formuł tylko trochę, nic więcej. Czy zdobył pan choć iskry potęgi? Teraz drży pan jak dziecko przed młodą dziewczyną, której prawdziwej wartości nie umiał pan docenić. Uczyl się pan w ten sposób, jak wielu z was się uczy. Z książek. Poza tem posiada pan słabe serce, żadne czynienia dobrze drugim i wyolbrzymione pragnienia w każdym kierunku. Ale nie wie pan, że z temi zaletami, czy wadami, bo nie wiem, jak je nazwać doprawdy, będzie pan wiecznie wyzyskiwany przez otoczenie i samego siebie. Chyba, że spoika pan na swojej drodze jakąś naturę silną, energiczną i śmiałą, która wskaże panu prawdziwą drogę życia. Bo niech pan tylko się zastanowi na zimno. Gdybym był nie użył teraz względem pana śmiałego środka, który dał panu możność poznania rodziny kobiety, która pan kocha skrycie — byłbyś do tej pory wdychał, jęczał i rozpaczał nad swoim losem, nie usiłując nawet zmienić choć w części stanu rzeczy.

— Oh! Wiem dobrze, wiele panu zawdzięczam. — zawołał Frank, gorąco przejęty temi słowami. — To też wdzięczność moja...

— Niema tu nic do roboty. — przerwał zimno nieznajomy.

Odezwanie to wyrzeczone dosyć szorstko zmroziło Franka. Szybkim ruchem cofnął rękę, którą wyciągnął był do gorącego uścisku.

Nieznajomy zauważył ten ruch i potrząsnął głową.

— Jest pan jeszcze bardzo młodym i pełnym iluzji — odezwał się — i wierzy pan w tajemniczych opiekunów przez los nasyłanych panu. Ale myli się pan — przynajmniej co do mnie, myli się pan z gruntu.

— Ale nareszcie niechże mi pan wyjaw, w jakim celu działał pan dotąd? — zapytał Frank.

— W celu osobistym.

— Nie mogę go poznać? — zapytał Frank coraz silniej zdumiony zachowaniem się nieznajomego.

— Króć z nas niema w sobie ukrytego celu. — odparł tenże, odetchnawszy głęboko — Pan na przykład. Unika pan ludzi, lubi pan samotność i cóż pan znajduje w głębi swojej duszy?

— Miłość czystą i głęboką.

(Ciąg dalszy nastąpi.)